GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MAJA 1937 R.

Nr. 9 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 9

1937 R.

1 — V

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, STANISŁAW GRYZIEWICZ, ALEKSANDER IVANKA, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, MICHAŁ KACZOROWSKI, PIOTR KALTENBERG, ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI BOLESŁAW WŚCIEKLICA, JACEK RUDZIŃSKI, redaktor

CZESŁAW KOROLKO

POPRAWA NAKRĘCANA I SAMORZUTNA

Poprawa „nakręcana" stawia przed polityką gospodarczą zadania szersze i nieco odmienne niż poprawa samorzutna.

Przebieg koniunktury nakręcanej nie powinien się tak bardzo różnić od koniunktury samorzutnej. Istotą procesu wznoszenia się życia gospodarczego jest w obu wypadkach to samo: tworzenie nowej siły nabywczej, inflacja kredytowa pozwalająca na podejmowanie prac inwestycyjnych. Są jednak różnice, które w dość poważnym stopniu zaważyć mogą na przebiegu poprawy koniunkturalnej. Wyjaśnienie sobie tych różnic jest tem donioślejsze, że w odniesieniu do cyklu samoczynnego dysponujemy bogatszym materiałem obserwacyjnym, podczas gdy w stosunku do koniunktury regulowanej przez państwo materiał ten jest ubogi. Do czegoż bowiem ogranicza się nasze doświadczenie w tym zakresie? Za wyjątkiem Rosji Sowieckiej we wszystkich krajach, świadomie prowadzących politykę nakręcania koniunktury, przeżyto dotychczas dopiero fazę poprawy, — reszta cyklu koniunkturalnego w warunkach nakręcania należy w tych krajach do przyszłości. Sowiecki przykład jest bogatszy, zawiera bowiem pełny cykl wraz z quasi-kryzysem lat 1931 — 32, z kryzysowymi procesami likwidacyjnymi i ponowną poprawą po tych latach. Ale przykład ten jest mało instruktywny, nie tyle z powodu upaństwowienia gospodarki czy specjalnej polityki rolnej, co poprostu dlatego, że polityka inwestycyjna pierwszej piatiletki, stanowiącej właśnie ową pierwszą fazę poprawy, nacechowana była wyjątkową skrajnością, taką skrajnością, jakiej nie odnajdujemy już nie tylko w ostrożnie i precyzyjnie działającej Italii, lecz nawet w bardziej prymitywnej i gwałtownej polityce niemieckiej. Jeśli zatem nie mamy na falach koniunktury nakręcanej wpłynąć w strefę kryzysu bez świadomości tego, co się dzieje i co zagraża przybliżeniem nowego kryzysowego załamania, musimy na drodze rozumowań teoretycznych starać się ustalić różnice pomiędzy przebiegiem koniunktury, odbywającej się w warunkach silnej interwencji koniunkturalnej państwa, a klasycznym przedwojennym przebiegiem.

W czem przedewszystkiem dopatrywać się można tych różnic? — Sądzę, że za jedną z podstawowych uznać należałoby to, że kryzysowe procesy likwidacyjne przy koniunkturze nakręcanej nie dobiegają do końca, że poprawa następuje zanim dokona się wśród przedsiębiorców selekcja poprzez proces bankructw i oddłużenie czy to w drodze strat wierzyciela czy zmiany właściciela warsztatu. Rezultatem tego musi być, jak sądzę, to, że ilość przedsiębiorców, reprezentujących dostateczną odpowiedzialność kredytową, jest w stosunku do osiągniętego poziomu życia gospodarczego mała, że bilanse są złe, choć poziom zatrudnienia przedsiębiorstw jest już niezły. Jednocześnie z tem wolne kapitały, poszukujące lokaty, narastają w sposób niemniej intensywny niż przy poprawie samoczynnej. (Oczywiście, jeśli weźmiemy pod uwagę nie tylko wolne kapitały w rękach przedsiębiorcy, lecz i kapitały, którymi państwo dysponuje dla celów pozagospodarczych, jak obrona i walka z bezrobociem). Stąd wytworzyć się musi zjawisko wzrostu rezerw w aparacie kredytowym, wzrostu płynności rynku pieniężnego, — słowem wytworzyć się musi teoretyczna

łatwość udzielania kredytu, której nie towarzyszy *łatwość uzyskania* kredytu ze względu na niedostateczny wzrost odpowiedzialności kredytowej przedsiębiorców. Dodajmy do tego, że rozwój interwencjonizmu i etatyzmu, w większej lub mniejszej mierze połączony zawsze z polityką nakręcania koniunktury, nie sprzyja z pewnością spopularyzowaniu papierów o oprocentowaniu zmiennym, skutkiem czego, pomimo narastania wolnych kapitałów dla przedsiębiorcy prywatnego nie pojawiają się nowe możliwości uzyskania kapitału drogą emisji akcyj. Wydaje się zatem, że sytuacja mogłaby być z punktu widzenia skrajnego klasyka osądzona jako „przekleństwo złego czynu": — jeśli się raz weszło na drogę podsycania koniunktury przez roboty publiczne, przez kredyty publiczne, przez inflację na cele budżetowe, to odwrót z tej drogi jest niesłychanie trudny, gdyż dla dalszego podtrzymywania tempa poprawy państwo musi się nadal angażować w zaciąganie kredytów, musi nadal prowadzić roboty inwestycyjne — pod groźbą niewyzyskania możliwości rozwojowych. Jednocześnie ten rozwój sytuacji, który o ile sądzić mogę ma miejsce we wszystkich krajach, które koniunkturę nakręcały, a w pewnej mierze i u nas, daje bardzo interesujący materiał dla oceny lansowanego przed 1½ rokiem hasła wycofania się państwa z nadmiernego drenowania rynku pieniężnego. Postawa antyetatystów, którzy obawiali się, że koniunkturalny interwencjonizm będzie musiał iść dalej, niż państwo w danej chwili chce, wydaje się w tym świetle słuszna; — jest to jeszcze jedno potwierdzenie „prawa alfabetu", prawa nieznanego teoretykom ekonomii, ale bardzo dobrze znanego praktykom, prawa polegającego na tem, że jeśli się dobrowolnie powiedziało, a, b i c, to dalsze litery alfabetu wymawia się już mimowoli — pod naciskiem logiki faktów. Jednocześnie jednak jest to jeden dowód więcej, jak prymitywne było rozumowanie skrajnie kapitalistycznych przeciwników „drenowania rynku pieniężnego przez państwo", którzy w zaciąganiu przez Skarb kredytu dopatrywali się tylko konkurencji, nie zdając sobie sprawy z tego, że właśnie to zaciąganie kredytu, uruchamiając nowe procesy gospodarcze, tworzy nowe możliwości kredytu. Z tych nowych możliwości (podobnie jak ze starych) przedsiębiorczość prywatna korzystać nie będzie nie dlatego, że Skarb pożre wszystko, lecz dlatego, że dobry przedsiębiorca otrzymać może kredyt tylko o tyle, o ile zły przedsiębiorca poprzednio zbankrutował.

Cóż wynika z takiego układu sytuacji, w którym kontynuowanie inwestycyj publicznych wydaje się nieodzownym warunkiem dalszego wzmagania koniunktury? Na to pytanie dość trudno odpowiedzieć. Teoretycznie można byłoby mniemać, że państwo wykaże więcej umiaru w rozmachu inwestycyjnym, niż przedsiębiorcy prywatni, że rozbudowa aparatu produkcyjnego w okresie poprawy nastąpi na skalę tem mniejszą, że oczywiście w inwestycjach publicznych inwestycje nierentowne zajmują zawsze dość pokaźne miejsce. Jeśli tak, to wolno byłoby mniemać, że kryzys na tle przerostu zdolności produkcyjnej ponad zdolność nabywczą aktualnie istniejącą wystąpi później, że załamanie będzie słabsze niż to miało miejsce w cyklu klasycznym, opartym o inwestycje prywatne. Z drugiej strony jednak należy pamiętać o tem, że przedsiębiorcy prywatni nie mają monopolu na błędy. Wprawdzie kierowanie zarzutów np. pod adresem Państwa Polskiego w niedawnym okresie naszej historii gospodarczej z tytułu naszej „radosnej twórczości" jest o tyle naiwne, czy o tyle nielojalne, że gdyby „etatyzm" nie popełniał błędów opartych o optymistyczną ocenę sytuacji gospodarczej, to popełnialiby je inwestorzy prywatni. Ale z drugiej strony w obecnej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej nacisk czynników pozagospodarczych może państwo popchnąć do błędów większych jeszcze niż klasyczne błędy inwestorów prywatnych w sensie nadmiernego tempa rozkręcania koniunktury. Pewne objawy tego widzimy już dziś w postaci gwałtownego wzrostu koniunktury na niektóre surowce związane ze zbrojeniami, wzrostu przybierającego wyraźny charakter boomu [1]). No, i jeszcze jedno. Wydaje się rzeczą dość pewną, że w koniunkturze samorzutnej zdolność nabywcza kieruje się względnie równomiernie pomiędzy poszczególne gałęzie aparatu wytwórczego. Wprawdzie zatrudnienie przemysłów inwestycyjnych rośnie więcej niż konsumcyjnych, ale rozpiętość nie jest jeszcze tak wielka, jak przy koniunkturze nakręcanej. Tem samem przy nakręcaniu powstaje groźba nadmiernie silnego powiększania zdolności produkcyjnej właśnie w tych działach, które szczególnie ostro przeżywają każdy kryzys, powstaje groźba łatwego wywołania kryzysów branżowych, od których rozpocząć się może prędko kryzys o charakterze ogólnym.

Nie podejmując się wyważyć w tych krótkich uwagach znaczenia poszczególnych czynników, kończę wywody powyższe dwoma prostymi stwierdzeniami, których przesłanki częściowo tylko zawierają się w poprzednich rozważaniach:

1. Skoro rola państwa w wykorzystywaniu wolnych kapitałów w ramach koniunktury nakręcanej jest szczególnie doniosła i skoro nie zamierzamy w Polsce programowo likwidować własności prywatnej, skoro ponadto potrzeby kredytu publicznego nie są pod względem formy uzgodnione z charakterem narastania wolnych kapitałów w Polsce (Państwo potrzebuje przede wszystkim długoterminowego kredytu emisyjnego, narastają zaś przede wszystkim krótkoterminowe płochliwe lokaty) — czas najwyższy postawić na porządku dziennym zagadnienie organizacji rynku pieniężnego w kierunku: a) ułatwienia przedsiębiorczości prywatnej dotarcia do kredytu nie poprzez usuwanie państwa z rynku, bo to jest niepotrzebne, lecz poprzez takie lub inne rozwikłanie zagadnienia niedostatecznej odpowiedzialności kredytowej przedsiębiorców prywatnych; b) stworzenia form wiążących długoterminową pożyczkę państwową z krótkoterminowym wkładem lepiej i bez narażania na ustawiczny strach przed nerwami wkładców, niż to ma miejsce przy systemie lokowania papierów państwowych na t.zw. sztywnym rynku.

2. W czasie kryzysu należy myśleć o poprawie, w czasie poprawy o przyszłym kryzysie. Państwowa polityka koniunkturalna w chwili obecnej ma i większe

[1]) Zniżka cen na surowce metalowe, jaka nastąpiła już po napisaniu tego artykułu, jest najlepszym potwierdzeniem, jak silnym może być wpływ na rozwój koniunktury czynników związanych z aktualną polityką zbrojeniową państwa.

możliwości i większe obowiązki niż zazwyczaj, właśnie ze względu na dzisiejszą rolę inwestycyj i kredytu publicznego. Państwo spełnia dziś swoją normalną rolę plus część tej roli, która kiedyindziej przypadała inwestorom prywatnym. Tem większego znaczenia nabiera więc to, aby polityka koniunkturalna, a w szczególności inwestycyjna Państwa była możliwie niedyletancka, możliwie uniezależniona od falowania optymizmu i pesymizmu, stwarzającego zwykle owcze pędy wśród przedsiębiorców prywatnych. Nie jest to oczywiście w 100%-ch wykonalne — nie sposób liczyć na to, ażeby politykę koniunkturalną można było zbudować na samych tylko niespornych, naukowo ustalonych przesłankach. Natomiast właśnie w chwili obecnej, w chwili kiedy rozwój poprawy pozwala nam pracować z pewnym oddechem, wydaje się zupełnie możliwe, a nie tylko potrzebne, stworzenie koncepcji polityki koniunkturalnej, obliczonej na troszkę dłuższą metę i opartej na szerszej nieco analizie sytuacji światowej. W szczególności zaś chodzi o to, ażeby o państwie nie powiedziano tego, co słusznie mówi się o przedsiębiorcach prywatnych, iż w okresie poprawy zapominają o wszystkich doświadczeniach kryzysu.

ST. RZĘBOWSKI

RENTA KONTYNGENTOWA

Znaczenie polityczno-gospodarcze renty kontyngentowej jest przeciwstawne znaczeniu polityczno-gospodarczemu opłat, obciążających import na rzecz eksportu. Opłaty na rzecz eksportu mogą nie podnosić ceny wewnętrznej towaru, gdyż pozwalają na zwiększenie jego podaży.

Koszt własny niektórych towarów importowanych podnoszony jest o sumę opłat, obciążających import na rzecz eksportu. Jest rzeczą drugorzędną i nieinteresującą nas narazie, czy opłaty te są pobierane według z góry ustalonych stawek, służąc do tworzenia funduszów popierania wywozu, czy też powstają w wyniku t. zw. tranzakcyj wiązanych, a więc mają wysokość zmienną, zależną od porozumienia zawartego odnośnie poszczególnych tranzakcyj między importerem a eksporterem.

Niezależnie od powyższego w *cenie sprzedażnej* licznych towarów importowanych mieści się t. zw. renta kontyngentowa. Renta ta jest — w przeciwstawieniu do opłat na rzecz eksportu — dodatkowym zyskiem, inkasowanym przez importera dzięki istnieniu kontyngentów przywozowych, zyskiem wynikającym nie z zakresu i wartości świadczonych przez importera usług kupieckich, a z powstałej na skutek polityki kontyngentowej dysproporcji między podażą i popytem. Renta kontyngentowa posiada wiele analogij do renty kartelowej, przy czem rolę ograniczającego produkcję kartelu odgrywa tu system kontyngentowy; przy rencie kartelowej jej twórcą i jednocześnie inkasentem jest kartel, twórcą renty kontyngentowej jest polityka handlowa, natomiast inkasentem importer.

W cenie sprzedażnej towaru importowanego mieszczą się z reguły jednocześnie oba te składniki: i renta kontyngentowa i opłaty na rzecz eksportu. Obydwa podnoszą cenę wewnętrzną towarów zagranicznych; stąd też są one zazwyczaj traktowane łącznie, jako czynnik złożony z fragmentów odmiennych co do formy, lecz identycznych co do swej treści gospodarczej. *Jest to błąd*, gdyż w rzeczywistości istnieje przeciwstawność sensu polityczno - gospodarczego opłat na rzecz eksportu i renty kontyngentowej; opłaty na rzecz eksportu są bowiem czynnikiem redukującym rentę kontyngentową.

Fakt ten jest zupełnie jasny i niewątpliwy o ile chodzi o towary, których importu *nie zamierzamy* ograniczać (np. dla celów ochrony produkcji wewnętrznej), a natomiast *musimy* ograniczać gwoli utrzymania równowagi bilansu handlowego i dewizowego. Do tej ostatniej kategorii należą m. in. artykuły kolonialne i większość surowców zamorskich; w odniesieniu do towarów, których produkcja jest przez system kontyngentowy chroniona, renta kontyngentowa jest zamierzona i ona to stanowi podnietę do powstawania produkcji krajowej. Problem więc renty kontyngentowej jako zjawiska niepożądanego dotyczy tylko tych towarów, które radzibyśmy importować bez ograniczeń ilościowych, które jednak kontyngentujemy ze względu na bilans handlowy i dewizowy.

Tem samem zwiększenie aktywnej strony bilansu handlowego i dewizowego, t. j. zwiększenie wywozu, jest okolicznością pozwalającą na zwiększenie przywozu, t. j. na wzrost podaży rynkowej danego towaru, co redukuje rentę kontyngentową. Opłaty na rzecz eksportu zwiększają wywóz, czyli redukują rentę kontyngentową.

Rozumując więc w sposób uproszczony można powiedzieć, iż polityk gospodarczy stoi wobec dwu ewentualności: 1) albo nałoży na import opłaty, zwiększy przy ich pomocy wywóz i wślad za nim przywóz, działając w ten sposób redukcyjnie na rentę kontyngentową, albo 2) powstrzyma się od nakładania opłat, zadowoli się eksportem nie wymagającym odpowiedniej pomocy i do tego eksportu dostosuje rozmiary przywozu, godząc się na rentę kontyngentową. — Kryteria, którymi należy się kierować przy wyborze jednej lub drugiej ewentualności mogą być różne, na czoło wy-

bija się jednak kryterium teoretycznie bardzo proste, praktycznie bardzo trudne do zastosowania: należy wybrać tę ewentualność, która mniej będzie obciążała cenę sprzedażną na rynku wewnętrznym. Kryterium jest praktycznie trudne, gdyż trudno jest znaleźć dlań wyraz liczbowy, gdyż z reguły renta współistnieje z opłatami i trzeba działać, ażeby osiągnąć najniższy poziom sumy obu tych czynników, gdyż wreszcie wchodzi tu niekiedy w grę renta różniczkowa.

Wyobraźmy sobie jakiś towar, importowany w danym okresie czasu w ramach kontyngentu o rozmiarach K ton; kontyngent ten nie wystarcza na zaspokojenie rynku, wobec czego istnieje renta kontyngentowa w wysokości k zł od tonny. Towar ten obciążamy opłatami na rzecz eksportu w wysokości c zł od tonny i uruchamiamy wywóz, dzięki któremu możemy powiększyć kontyngent przywozowy do rozmiarów K^1; jednocześnie renta kontyngentowa obniża się do poziomu k^1 [1]). Problemem jest, czy powstałe w ten sposób całkowite obciążenie ceny $(k^1 + c)$ będzie mniejsze czy większe od dawnej renty kontyngentowej (k). — W wypadku krańcowym obciążenie c^1 zlikwiduje zupełnie rentę kontyngentową i w tym krańcowym wypadku staniemy przed zagadnieniem co jest większe, czy k czy c^1. — Niewątpliwie w miarę jak iść będziemy po linii premiowania eksportu celem zwiększania rozmiarów przywozu, uciekać się będziemy musieli do tranzakcyj eksportowych o coraz gorszej rentowności, wymagających coraz większej premii, a więc coraz silniej obciążających jednostkę towaru importowanego; okoliczność ta przemawia za potrzebą takiego użycia sum gromadzonych na poparcie wywozu, aby poprawiały one organizację zbytu towarów polskich, a więc pozwalały na stopniowe uzyskiwanie bardziej korzystnych cen (obniża to obciążenie importu) oraz rozszerzanie zbytu towarów dotąd wywożonych, bez konieczności uciekania się do nowych, wymagających silniejszego premiowania typów towaru wywozowego.

W świetle uwag powyższych polityka handlu zagranicznego stoi przed wyborem: czy renta kontyngentowa, czy obciążenie importu na rzecz eksportu; albo ściślej, zważywszy że renta nigdy nie zniknie zupełnie: czy nałożenie obciążeń pozwoli na conajmniej ekwiwalentne zredukowanie renty. W tym ostatnim wypadku $(k - k^1 = c)$ trzeba się decydować na obciążenie, pozwala ono bowiem na rozszerzenie obrotów, nie podbijając ceny.

Sądzimy, że nie można sformułować generalnej odpowiedzi na dylemat ostatnio sformułowany. Odpowiedź ta będzie zależała od wysokości premii potrzebnej dla uruchomienia wywozu, a więc od indywidualnych warunków rentowności wchodzących w grę tranzakcji eksportowych. Jest to kwestia obliczeń bardzo zindywidualizowanych a częściej jeszcze „nosa" polityków gospodarczych. „Nos" piszącego te słowa wskazuje, że mamy w Polsce dosyć szerokie pole do obciążenia importu na rzecz eksportu, bez obawy o nadmierną zwyżkę cen, znajdą one bowiem wyrównanie w spadku renty kontyngentowej. Poza tem gdyby nawet nałożenie obciążeń na rzecz eksportu nie znalazło wyrównania w takim samym spadku renty kontyngentowej, gdyby nawet cena wewnętrzna wzrosła — to *pewien* wzrost tej ceny trzeba uznać za dopuszczalny. Bowiem możność zwiększenia podaży towaru importowanego jest okolicznością korzystną, za którą warto zapłacić *pewną* zwyżką ceny — tem bardziej, że zapewne zwyżka ta i tak by nastąpiła, w drodze zupełnego zdyskontowania renty kontyngentowej, zarówno na odcinku towaru importowanego, jak i fabrykatów zeń wyrabianych.

Uwagi powyższe dotyczą zwłaszcza przywozu surowców, za które płacimy i płacić będziemy dewizami, a jedynie rozszerzenie kontygentów ponad obecne quantum dewizowe wymagałoby pokrycia premiowanym wywozem. W tym bowiem wypadku obciążenie rozkłada się na cały import (również płacony dewizą), natomiast globalny fundusz w ten sposób uzyskany ma uruchomić wywóz wyrównywujący tylko dodatkowy import, ponad dotychczasowe quantum dewizowe; co za tem idzie nawet silne premiowanie wywozu stosunkowo słabo obciąży jednostkę wagową importu. Z drugiej zaś strony dodatkowy import redukuje rentę kontyngentową na całym rynku; wydaje się, że w stosunku do bardzo licznych towarów stosunkowo nieznaczne zwiększenie przywozu może wydatnie zredukować rentę kontyngentową.

Dla wzmocnienia tego poglądu możemy rzucić parę cyfr. W bawełnie renta kontyngentowa mieści się w t. zw. marży przędzalniczej (różnica między ceną 1 kg przędzy a 1,1 kg bawełny). Marża ta wzrosła od roku 1934 (przeciętna roczna, minimum było niższe) do ultimo r. ub. ze zł 1,04 do zł 1,68, t. j. o 61%, przyczem w r. 1934 wynosiła ona 52% ceny bawełny, a w grudniu r. ub. 81,5%. Ponieważ koszta przetwórcze raczej zmalały w tym okresie, a napewno nie wzrosły — przeto całe 64 gr od 1,1 kg bawełny (zł 1,68 minus zł 1.04) uważać trzeba za rentę kontyngentową, a nawet tylko za *część* renty kontyngentowej, która tkwiła również w przyjętej do obliczeń cenie bawełny. Te 64 gr stanowiło w grudniu r. ub. 31% ceny bawełny, analogiczna liczba dla listopada i października ub. r. wynosi 40,3%. Okazuje się więc, że renta kontyngentowa może być b. wysoka i „jest co" obniżać przez zwiększenie rozmiarów przywozu. — Natomiast podniesienie ceny wewnętrznej o opłatę na rzecz eksportu nie musi być specjalnie wysokie. W jednym z masowych artykułów kolonialnych wysokość obciążenia w t. zw. tranzakcjach wiązanych osiągała wprawdzie prawie 20% ceny cif Gdynia, ale tylko do 5% ceny w Warszawie (z cłem). — Niewspółmierność czynnika podwyższającego cenę wewnętrzną jest w tych dwu wypadkach zupełnie wyraźna, czyniąc wysoce prawdopodobnych, że $k - k^1$ okazałoby się większe od c.

Bynajmniej nie jest naszym zamierzeniem wysnuwanie z uwag powyższych wniosku, iż należy przystąpić do głębokich zmian w polityce kontyngentowania przywozu. Zamierzaliśmy jedynie wskazać, że sens gospodarczy opłat obciążających import na rzecz eksportu jest nieidentyczny, a przeciwstawny sensowi gospodarczemu renty kontyngentowej, że opłaty redukują rentę, a tem samem stosowanie ich nie oznaczałoby jeszcze podwyżki ceny sprzedażnej.

---

[1]) Pomijamy iż w miarę wzrostu przywozu obciążenie rozkłada się na coraz większą ilość jednostek wagowych importu.

STANISŁAW ORLIKOWSKI

TOTALIZM KREDYTOWY A ROLNICTWO

Wydaje się słuszne, aby z ogólnej zasady centralizacji kredytowej wyłączone zostało rolnictwo, jako odrębny podmiot kapitalizacji i kredytu.

Przeglądając retrospektywnie dane statystyczne na odcinku kredytowym, stwierdzić możemy powolne zjawisko odtwarzania się zasobów kapitałowych. Od hasła cnoty obywatelskiej „oszczędność", poprzez reklamę „pewność — zaufanie", przy pomocy często pomysłowych, a zachęcających szeroki ogół form kapitalizacji, sekundowanych mniej popularnym, ale bardziej skutecznym przymusem kapitalizacji ubezpieczeniowej, doszliśmy do wyników rozbudowy kapitału, bardzo skromnych wprawdzie w stosunku do potrzeb gospodarczych, lecz świadczących o potencjale rozwojowym tego procesu.

Cechą charakterystyczną naszej kapitalizacji jest oparcie jej na masowej oszczędności szerokich warstw drobnych posiadaczy, lub ludzi pracy, w odróżnieniu od kapitalizowania renty uprzednio nagromadzonego kapitału. Wskazuje to na nie tylko gospodarczy, lecz i socjalny charakter tego zjawiska.

Po częściowym wykrystalizowaniu podstaw i form organizacyjnych, w logicznej kolejności powstaje zagadnienie właściwego zużycia dotychczasowego dorobku.

W analizowanym procesie zaznaczyć się daje krok pozytywny w zakresie stopniowej odbudowy kredytu długoterminowego, przez powiększenie emisji listów zastawnych i obligacyj z 1551 mil. zł. w 1928 r. na 1972 mil. zł. w 1935 r. Powiększenie to znajduje prawie całkowity odpowiednik we wzroście papierów wartościowych zakładów ubezpieczeń. Charakterystyczne i godne podkreślenia, że w nadwyżce emisji papierów kredytu długoterminowego Towarzystwa Kredytowe Ziemskie zaledwie utrzymują swój uprzedni stan posiadania, a wzrost o 50% zaznacza się w Towarzystwach Kredytowych Miejskich i Bankach Państwowych, z czego na Państwowy Bank Rolny przypada wzrost o 88 mil. zł. a na Bank Gospodarstwa Krajowego o 210 mil. zł. Pozwala to ustalić znikomy udział rolnictwa w rozwoju kredytu długoterminowego, bo wyrażający się jedynie kwotą podwyżki emisji Państwowego Banku Rolnego o 88 mil. zł., wobec ogólnej sumy wzrostu o 421 mil. zł.

Przechodząc kolejno do rozpatrzenia wkładów w instytucjach kredytowych i oszczędnościowych w zestawieniu z kredytami krótkoterminowymi, zauważyć możemy znaczny wzrost wkładów: 3,016 mil. zł. w 1935 r. wobec 2,679 mil. zł. w 1928 r. — przy równoczesnym znacznym kurczeniu się kredytów 2,860 mil. zł. w 1935 r. wobec 3,224 mil. zł. w 1928 roku [1]).

Starając się ustalić, co przyczyniło się do tak zasadniczego przesunięcia na rynku kredytu krótkoterminowego, zwrócić musimy uwagę, że zmiana wzajemnego stosunku sumy wkładów do kredytów nastąpiła głównie dzięki wzrostowi wkładów w P. K. O, przy równoczesnym utrzymaniu niezmienionej kwoty kredytów, powiększeniu wkładów w Państwowym Banku Rolnym przy równoczesnym zmniejszeniu kredytów, oraz dzięki szybszemu tempu powiększania się wkładów niż kredytów w Komunalnych Kasach Oszczędności. Łagodzi nieco objaw kurczenia się kredytów przy równoczesnym wzroście wkładów spółdzielczość, gdzie wzrost kredytów wyprzedza powiększenie wkładów. Pozatem zaobserwować się daje zmniejszenie o połowę zarówno wkładów, jak i kredytów w bankach prywatnych, przy zachowaniu jednak tego samego wzajemnego stosunku.

W strukturze rynku kredytowego odbywa się więc ewolucja w kierunku przesunięcia punktu ciężkości na instytucje publiczno - prawne, przy równoczesnej znacznej centralizacji zarówno organizacji kredytowej, jak i dyspozycji pieniężnej. Daje to korzystne dla dysponenta możliwości przesuwania rezerw kapitałowych do tej dziedziny gospodarczej, która w danej chwili najbardziej tego potrzebuje. Korzyści te są jednak osiągane kosztem podrożenia kredytu przez przeprowadzanie pieniądza z lokalnych jednostek organizmu zbiorczego, poprzez aparat centralny do lokalnej komórki rozdzielczej. Przy czem poważna nadwyżka wkładów nad kredytami zostaje wycofana z rynku kredytu krótkoterminowego i zużyta w znikomej części na kredyty długoterminowe, a przeważnie na bieżące, lecz długo-falowe pod względem amortyzacji potrzeby gospodarcze, finansowane nie w formie kredytów. Podobny drenaż wkładów i zaspakajanie potrzeb, które pod względem czasu nie odpowiadają strukturze krótkoterminowego wkładu, jest sprzeczny z organicznemi zasadami kapitalizacji, a w systemie centralistycznym może stać się zjawiskiem trwałym, gdyż musi stanowić logiczną konsekwencję celowego dążenia do powiększenia dysponowanych sum.

Obok utraty płynności organizmu kredytowego, charakterystyczną cechą tego zjawiska jest tendencja nierozdrabniania, nierozproszkowywania oszczędności zarówno pod względem zawodowym jak i terytorialnym. Pociąga to za sobą poważne niebezpieczeństwo pozbawienia korzyści gospodarczych z własnego dorobku poszczególnych grup gospodarczych lub jednostek terenowych. Dłuższe kontynuowanie tego stanu rzeczy może spowodować cofnięcie się tempa kapitalizacji i nawrót do indywidualnego zużytkowywania dochodów w formie inwestycyj jednostkowych, nie znajdujących uzasadnienia w ogólnym planie gospodarczym.

Powyższe tendencje rynku pieniężnego specjalnie ujemnie muszą się odbić na rolnictwie, które nie mo-

[1]) Dane cyfrowe zaczerpnięte z Rocznika Statystycznego 1936 r. z uwzględnieniem sprawozdań rocznych odnośnych instytucyj kredytowych.

że jak przemysł planowo koncentrować się w pewnych okręgach. Proces gospodarczy w rolnictwie więcej niż w jakiejkolwiek innej dziedzinie ma charakter jednostkowy, a w miarę dokonywania się przebudowy agrarnej, ten indywidualistyczny charakter gospodarki wiejskiej, jako podmiotu kapitalizacji i zapotrzebowania kredytowego, będzie się ilościowo pogłębiał i coraz mocniej zaznaczał.

Nie jest celem powyższego stwierdzenia wyciąganie wniosków o nastawienie prorolnicze polityki kredytowej. Chodzi natomiast o podkreślenie, że musi ona poza momentami wyłącznie gospodarczymi, jak planowość lub rentowność inwestycyj, brać pod uwagę strukturę gospodarczą i socjalną kraju. Kapitalizacja w Polsce opiera się wybitnie na drobnych oszczędnościach szerokich mas. Ten demokratyczny charakter odbudowy kapitału będzie się coraz mocniej zaznaczał w miarę postępu przebudowy socjalnej naszego życia gospodarczego. Niemożliwe jest przeto przy omawianiu kapitalizacji i kredytu przejście do porządku dziennego nad faktem znacznej przewagi ludności rolniczej, rozproszkowanej terytorialnie, i nad faktem jej ilościowego przyrostu, niewspółmiernie większego, niż w ośrodkach miejskich, przyrostu, który nie znajduje właściwego odpływu i zatrudniony w tej czy innej postaci będzie w dużym stopniu pozostawał podmiotem gospodarczym wiejskim.

Rozpatrywanie celowości gospodarczej kredytów rolnych nie leży w zakresie niniejszych uwag i znacznie wykraczałoby poza ramy odcinkowego ich charakteru. Celem ich jest natomiast wskazanie na konieczność dostosowania organizacji kredytowej do stanu faktycznego i stąd wypływających potrzeb strukturalnych i zawodowych.

Postulat ten nie jest dyktowany przez utopijne agospodarcze społecznictwo. Historia rozwoju organizacji kapitałowej świadczy, że zawsze i na całym świecie kapitał powstawał i skutecznie rozwijał się początkowo na zasadach tylko branżowych, z czasem branżowych i zawodowych. Zgodnie z tem w naszych stosunkach musi więc dojść z czasem do wytworzenia wyspecjalizowanego i samodzielnego aparatu kredytowego rolnego, któryby pod względem organizacyjnym odpowiadał technicznym możliwościom kapitalizacyjnym, a pod względem kredytowym specyficznym potrzebom drobnych gospodarstw rolnych.

Stanowi to tem bardziej nieodwołalną konieczność, że struktura kredytu rolnego jest zupełnie odmienna od kredytu przemysłowego lub handlowego, tak jak różnym jest proces gospodarczy rolny i przemysłowy.

Zasadnicze różnice dają się ująć następująco:

1) *Różnice wynikające z odmiennego działania prawa nieproporcjonalnych dochodów*, stawiającego w rolnictwie nieprzekraczalną granicę w powiększaniu wydajności produkcji. Stąd wynika mniejsza niż w przemyśle rentowność inwestycyj wskutek pewnych nakładów kapitałowych lub organizacji pracy.

2) *Większa zależność rolnictwa od działania przyrody* w postaci zjawisk niedających opanować się świadomym działaniem człowieka wytwarza niezależne od woli ludzkiej znaczne odchylenia w wynikach produkcji rolnej, co odbija się w postaci większego ryzyka kredytowego, w szczególności odnośnie kredytów krótkookresowych.

3) *Różnice wynikające z podziału czynników składowych produkcji*, polegające na znacznych trudnościach rozróżnienia w rolnictwie czynników kapitału i pracy. W większości warsztatów rolnych znajdujemy połączenie w jednej osobie przedsiębiorcy, kapitalisty i rolnika, co uchyla wybitnie zaznaczające się w przemyśle zagadnienie socjalne, ścierania się interesów kapitału i pracy, lecz równocześnie utrudnia rozróżnienie kapitałów: produkcyjnego, obrotowego i konsumcyjnego.

4) *Różnice w zakresie specjalizacji.* Jakkolwiek przeważnie określa się rolnictwo jako jednolitą grupę wytwórczą, nie mniej poszczególne przedsiębiorstwa rolne stanowią kompleksy gospodarcze, składające się z wielu różnych typów produkcji i zbytu. Podział na pewne grupy przedsiębiorstw, jak to ma miejsce w przemyśle, w rolnictwie jest często zawodny, gdyż specjalizacja jest mniej wyraźna, a związek pokrewnych typów produkcji znacznie mocniejszy.

5) *Rozproszkowanie terytorialne rolników, oraz indywidualny charakter produkcji rolnej.*

Powyższe różnice stanowią gospodarcze uzasadnienie potrzeby specjalizacji aparatu kredytowego w zależności od tego, jaki dział gospodarczy jest finansowany, a także potrzeby terenowego rozmieszczenia sieci kredytu rolnego, odpowiadającego rozsianiu produkcji rolnej. Organizacyjnie przyjąć należy zasadę terenowej i zawodowej decentralizacji aparatu kredytowego. Dyspozycja centralna gromadzonych kapitałów ograniczałaby się do rynku sztywnego, który jedynie może być podstawą odbudowy kredytu długoterminowego i niekredytowych inwestycyj gospodarczych. Rynek kredytu krótkoterminowego w postaci rozbudowanej sieci terytorialnej instytucyj kredytowych komunalnych i spółdzielczych, wyłączony z pod dyspozycji centralnej i niepodlegający drenażowi jego własnych zasobów kapitałowych zaspakajałby potrzeby lokalne środkami własnymi i lokalnymi wkładami, nieobciążając już swemi potrzebami kredytowemi rynku sztywnego lub źródeł państwowych.

UWAGI

BUDŻET CZY PLAN INWESTYCYJNY

Polityka skarbowa jest potężnym narzędziem polityki koniunkturalnej. Skarbowi przypada rola gromadzenia rezerw w okresie wysokiej koniunktury, urachamiania kredytów w czasie depresji. Manipulowanie obciążeniem podatkowym jest również znanym środkiem wpływania na przebieg życia gospodarczego. Jeśli pominąć tę część gospodarki państwowej, która nadal nie jest objęta jednolitym planem, a mianowicie przedsiębiorstwa państwowe, wchodzące do budżetu tylko wynikami netto, gwarancje skarbowe itp. — całość gospodarki skarbowej rozbita jest dziś na dwie części: preliminarz budżetowy i plan inwestycyjny. Głosy domagające się aktywnego oddziaływania Państwa na przebieg koniunktury w chwili obecnej, doradzają wykorzystanie bądź jednej, bądź drugiej pozycji. Prasa związana ze sferami gospodarczemi wzywa do odciążenia podatkowego społeczeństwa. Organizacje pracowników państwowych chciały by działać na tym samym terenie budżetowym — ale we wręcz przeciwnym kierunku. Samorząd miejski projektuje natomiast stworzenie swego rodzaju dodatkowego planu inwestycyjnego miejskiego, finansowanego przez dodatkowe podatki. Słowem projektów wiele, wyraźnie ze sobą sprzecznych.

Jeśli chodzi o wybór odcinka, na którym miałoby się odbywać menewrowanie koniunkturalne, to wyraźnie wypowiadam się za planem inwestycyjnym. Gospodarka skarbowa w węższym tego słowa znaczeniu, budżet administracyjny i zwyczajne nie pożyczkowe dochody państwa, powinny być możliwie usztywnione, zmiany w tym zakresie nie powinny mieć miejsca inaczej, jak w ramach podstawowej, na szereg lat obliczonej reformy, czy to systemu podatkowego, czy systemu uposażeniowego. Doraźne, koniunkturalne posunięcia nie powinny naruszać stałości, która w tej dziedzinie jest warunkiem, jeśli chodzi o Państwo — oszczędnej i planowej gospodarki, jeśli chodzi o podatnika — obliczalności. Wyjątki można robić tylko w takiej sytuacji, jak przed półtora rokiem.

Sądzę zresztą, że temat koniunkturalnego manewrowania w ramach budżetu jest praktycznie bezprzedmiotowy. Jeśli chodzi o postulat zmniejszenia obciążenia podatkowego, to jest on już realizowany, i to we wcale pokaźnej mierze. Realizowany nie przez jakiekolwiek zarządzenia specjalne, lecz drogą prostego faktu, że wymiar i pobór szeregu podatków odbywa się na podstawie wyników poprzedniego okresu gospodarczego. W okresie poprawy, jaką dziś przeżywamy, równa się to dość pokaźnej uldze podatkowej, skoro dochody czy obroty, obciążone dziś płaconym podatkiem są pokaźnie większe, niż w okresie, przyjmowanym jako podstawa wymiarowa. Sądzę też, że postulaty wysuwane przez sfery gospodarcze w tym zakresie mają charakter raczej demonstracyjny, co więcej, jakieś nieopatrzne posunięcie w tym kierunku mogłoby po raz nie wiem który zdezaktualizować kwestię szerszej reformy podatkowej, tem trudniejszej do wykonania, im mniejsze są rezerwy względnie nadwyżki Skarbu. Sądzę wreszcie, że postulaty pracowników umysłowych, dotyczące podwyżki płacy mają również charakter demonstracyjny, natomiast bezwątpienia nabiorą większego ciężaru gatunkowego z chwilą upływu ustawowego terminu podatku specjalnego. Daje to pewien okres czasu do namysłu.

Przedwczesne byłoby dzisiaj doradzać takie lub inne rozwiązanie tej sprawy, możnaby conajwyżej zauważyć, że decyzje w sprawie uposażeń pracowników państwowych nie powinny nastąpić w płaszczyźnie mechanicznego zniesienia części lub utrzymania całości podatku specjalnego, a raczej uwzględniając niepopularność i nieżyciowość ustawy uposażeniowej, powinny iść drogą przebudowania raz jeszcze ustawy uposażeniowej, z silniejszym uwzględnieniem niwelacji uposażeń kategorii lepiej i gorzej płatnych pracowników. Sądzę, że ten kierunek rewizji będzie zgodny z szerszą tendencją, jaką w tej chwili obserwujemy w polskiej polityce płac, tendencją uwzględniania postulatów podwyżkowych tylko w kategoriach najgorzej płatnych pracowników najemnych. Mamy zresztą czas na tę sprawę, skoro bądź co bądź na budżetach pracowników umysłowych zwyżka cen artykułów żywnościowych odbija się niepomiernie słabiej niż na budżetach pracowników fizycznych.

Słowem ani ze względów zasadniczych, ani ze względów praktycznych nie widzę możliwości wprowadzania elastyczności na odcinku budżetowym. Natomiast wydaje mi się, że w pełni dojrzała sprawa modyfikacji planu inwestycyjnego w toku jego wykonywania. Modyfikacji *in plus*. Możliwość ku temu bezwątpienia istnieje. Rynek pieniężny jest w stanie doraźnie sfinansować szerszy zakres robót od przewidzianego, no, a pamiętać przy tem należy, że cechą charakterystyczną gospodarki kredytowo-pieniężnej jest, że im więcej się zaciąga kredytów, tem większa staje się zdolność udzielania kredytów. Jeśli pieniądz nie leży bezużytecznie, lecz wypożyczony pracuje, przybiera postać zysków, znów wracających na rachunki bankowe, co z kolei znów umożliwia dalsze operacje kredytowe. Tylko wtedy moglibyśmy zrezygnować z powiększania zakresu prac inwestycyjnych, gdyby istotnie drenowanie rynku na cele robót inwestycyjnych przeszkadzało przedsiębiorczości prywatnej w uzyskaniu kredytu. Nie zdaje się jednak, ażeby czy to praktyka, czy rozumowanie teoretyczne mogły założenie takie potwierdzić.

Jeśli wypowiadam się za rozszerzeniem planu inwestycyjnego, to mam tu na uwadze jeszcze jeden moment, ten mianowicie, że w okresie jego przygotowywania przykrajano szereg robót nie na miarę zamierzeń, lecz na miarę oceny ówczesnych możliwości finansowych. Dziś możliwości te są większe. Równocześnie zaś, chociaż na pewnych odcinkach inwestycje publiczne nie zostały jeszcze rozkręcone na pełną przewidywaną skalę, to na innych odcinkach praktyczne organizacyjne możliwości celowego inwestowania są większe od wyznaczonych kontyngentów.

Wydaje mi się natomiast koniecznem podkreślić, że byłoby błędem, gdyby rozszerzenie planu inwestycyjnego miało prowadzić do załamania hierachii, która w pewnej mierze została w planie inwestycyjnym ustalona. Obawiam się w szczególności, że dążenia samorządów miejskich do wydatnego zwiększenia ich robót inwestycyjnych grożą niejednokrotnie naruszeniem tej hierarchii, doświadczenie uczy nas bowiem wyraźnie, że w szeregu somorządów podejmowane były prace inwestycyjne pod wyłącznym tylko kątem zatrudnienia, wszystko jedno czy przy budowie dajmy na to kanalizacji, czy też trawniczków, boisk sportowych itp. Oczywiście że to rozwiązanie, jakie ze sfer samorządowych jest lansowane, t. j. stworzenie podatku celowego, groziłoby ponadto dalszymi perturbacjami. Doraźne załatanie potrzeb inwestycyjnych niektórych samorządów, pomimo wszelkich deklaracyj ogólnych, odroczyłoby sprawę szerszej rewizji finansów samorządowych, co wydaje mi się rzeczą niezbędną. Obawiam się, że uzyskując doraźny efekt samorządy odroczyłyby wskutek tego gruntowniejszą poprawę ich sytuacji, poprawę, której nie da się uzyskać póty, póki będziemy trwali przy założeniu pełnej czy prawie pełnej samowystarczalności wszystkich związków komunalnych.

To oczywiście jest zagadnieniem ubocznym w płaszczyźnie niniejszych rozważań, istotnym natomiast jest to, co już zostało powiedziane wyżej, że wzmocnienie prac inwestycyjnych specjalnie na odcinku miejskim i uzależnienie tego od specjalnego podatku celowego nie da gwarancji celowego, racjonalnego rozkładu wydatków inwestycyjnych. Ten cel najlepiej da się osiągnąć przez rozszerzenie państwowego planu inwestycyjnego, przy czym oczywiście w pewnym odsetku miasta musiałaby w tym rozszerzeniu partycypować.

c. k.

JASNO I WYRAŹNIE!

Sprawa kartelizacji i cen w naszym przemyśle węglowym nabrała ponownie znaczenia w związku z przedłużeniem t. zw. Polskiej Konwencji Węglowej. Piszemy „t. zw.", gdyż w polskość przemysłu węglowego uwierzyć jest dość trudno, gdy się ma przed oczyma owe 80 kilka procent kapitału, które należą do zagranicznych dysponentów. Nie kwestionujemy niczyjego patriotyzmu i niczyjej polskości w sensie personalnym (dyrektorami kopalń i koncernów są przecież polacy), ale wątpimy bardzo, by miało to tak doniosły wpływ na tę rację gospodarczo - polityczną, którą się górnictwo węglowe zwykło kierować.

„Codzienna Gazeta Handlowa" z dnia 13 ub. m., zastanawiając się nad konsekwencjami katastrofy, jaką w jej pojęciu i ujęciu było by rozwiązanie Polskiej Konwencji Węglowej, doszła do przekonania, że tak pożytecznego kartelu rozwiązać nie można i nie należy. Pismo to twierdzi, że tylko dzięki kartelizacji mógł się rozwinąć eksport węgla polskiego na rynki zamorskie, węgiel ten znalazł nowe rynki, utrzymał się szereg przedsiębiorstw słabszych finansowo, a układ stosunków socjalnych kształtuje się znacznie pomyślniej, niż by to miało miejsce przy stanie bez konwencyjnym.

Eksport węgla, jeśli jest istotnie koniecznością państwową (raczej — dewizową), leży również w interesie samego przemysłu, jako że wpływa na zmniejszenie ciężaru kosztów generalnych. Ponadto wypada suponować, że do eksportu „państwowego" można by zmusić przemysł węglowy środkami państwowymi, zaczerpniętymi z obecnego czy znowelizowanego dekretu węglowego.

Nie wydaje się natomiast żadną państwową koniecznością trzymanie w ryzach rynków wewnętrznych. Jeśli nie chcemy dopuścić do ostrej konkurencji o wyrywanie sobie z rąk tego samego (?) klienta — twierdzi „C. G. H." — to musimy Konwencję zachować przy życiu. Dlaczego? Dlatego — odpowiada cyt. pismo — że konkurencja ta podcięła by sytuację finansową przemysłu węglowego. Jest to dla nas prawdziwa rewelacja: dotychczas głoszono, że sytuacja finansowa kopalni jest już gruntownie podcięta, że przemysł węglowy (t. zn. kopalnie *minus* koncerny sprzedaży) dokładają do wydobycia — a tu nagle okazuje się, że dopiero po skasowaniu państwowotwórczej Konwencji nastąpi krach... przemysłu. Że przy zawieszeniu kartelu słabsi, zwłaszcza w pierwszym stadium walki, opadną, to jasne; ale przykład dzisiejszej koniunktury uczy, że nawet słabsi i drożsi współzawodnicy będą mogli egzystować w wypadku, gdy wzrośnie popyt.

Otóż to właśnie: gdy wzrośnie popyt. I dlatego pomiędzy bajki należało by włożyć opowieści „Codziennej Gazety Handlowej" o tem, że zniesienie Konwencji sparaliżuje osiągnięcie dla przemysłu węglowego nowych pozycji przez wyszukanie nowych konsumentów węgla. Mamy więc nową rewelację: nie kto inny, tylko Konwencja, zabiega o nowe rynki (jeżeli zagraniczne — to pchało do nich państwo), o nowych odbiorców. Pismo, które z całą powagą dowodzi, że trzeba przemysłowi węglowemu umożliwić spokojną pracę w jego dotychczasowych ramach organizacyjnych, aby mógł szukać nowych konsumentów, nie zdaje sobie sprawy z nieżyciowości takiego twierdzenia. Przecież ani Konwencja, ani jej koncerny nie uczyniły nic w kierunku „Mengenkoniunktur"; ich jedynym zmartwieniem jest trzymać (wzgl. podwyższyć) ceny, aby mogły się utrzymać krajowe (!) przedsiębiorstwa, pracujące deficytowo. Jak gdyby „Wspólnota Interesów" nie była naprawdę przedsiębiorstwem krajowym, jak gdyby „Skarboferm" nie miał połowy akcji w rękach *polskiego* państwa. A właśnie tym przedsiębiorstwom zniesienie patriotycznej Konwencji wyszło by na korzyść.

Sprawę Polskiej Konwencji Węglowej trzeba stawiać wyraźnie i jasno. To nie jest sprawa obrony kraju (historia z niemożnością zatapiania szybów okazała się grubą przesadą), to nie jest sprawa eksportu (wystarczy pewne porozumienie pod egidą wzgl. naciskiem państwa), to nie jest sprawa socjalna (bo przecież w latach kryzysu zwolniono 50 tys. górników) — to jest jedynie zmartwienie kilkunastu słabszych finansowo firm, utrzymywanych przez konsumenta i zdrowe organizmy gospodarcze.

j. g.

WITOLD PTASZYŃSKI

EKSPORT DO SWOICH

Eksport do swoich ma własne oblicze handlowe. W istniejącym stanie rozwojowym naszego wychodźctwa wydaje się, że domy wysyłkowe pozostające w bezpośrednim kontakcie z ostatecznym konsumentem mogłyby okazać się najwłaściwszą formą penetracji eksportowej na rynek emigracyjny.

Prasa poświęcona zagadnieniom emigracyjnym podobnie jak prasa gospodarcza prawie zupełnie nie porusza sprawy metod handlu z wychodźctwem, okazując swe zainteresowanie jedynie dla ogólnej — dziś już powszechnie uznanej roli, jaką wychodźtwo *odegrać by mogło* w naszych stosunkach wymiennych z zagranicą. Być może, że wynika to z potrzeby ugruntowania tego ostatniego zainteresowania w mentalności gospodarczej społeczeństwa, a być może również, że wobec postępującej poprawy gospodarczej sprawa wykorzystania rynku emigracyjnego traci na dynamice i na... praktycznym podejściu do zagadnienia. Z punktu widzenia trwałych, niejako strukturalnych, interesów polskiego życia gospodarczego rynek ten jest jednak zawsze wartościowym elementem, którego niewykorzystanie byłoby błędem zarówno kupieckim, jak i polityczno - gospodarczym. Postępująca poprawa koniunktury powinna być zatem pojęta jako okazja do wejścia w kontakt z rynkiem emigracyjnym. Ułatwia to zwiększona w okresie poprawy chłonność gospodarcza emigracji, i łatwiejsze u nas w kraju w tym okresie przeprowadzenie odpowiedniej akcji handlowej i polityczno - gospodarczej.

Mówiąc o rynku emigracyjnym mamy na myśli jedynie tę siłę nabywczą, jaką reprezentuje konsumcja własna naszej emigracji. Obecnie nadzieje na propagandowe skutki i zwiększony zbyt towaru polskiego macierzy z emigracją — są raczej przedwczesne.

W chwili obecnej emigrant nie może propagować polskiego towaru, nie tylko dlatego, że nawet w najlepiej rozwiniętych centrach wychodźczych pozostaje on daleko w tyle pod względem rozwoju własnego aparatu handlowego w porównaniu z ludnością miejscową i innymi elementami etnicznie napływowymi, ale także dlatego, że towarów polskich sam bezpośrednio konsumuje bardzo niewiele.

Brak coprawda poważniejszych obliczeń co do tego ostatniego punktu, ale ogólna orientacja i struktura towarowa naszego eksportu dają podstawę do twierdzenia, że emigracja konsumuje towarów krajowych niewspółmiernie mało. Potwierdzenie pośrednie powyższego znaleźć można również w fakcie nierozwoju emigracyjnego aparatu handlowego. I tak np. w Stanach Zjednoczonych odsetek ludności polskiej zatrudnionej w handlu wynosi około 1,6%, mimo, że 86% tej ludności mieszka w miastach, tymczasem Niemcy amerykańscy, którzy tylko w 35% mieszkają w miastach, posiadają w swym składzie zawodowym 8% ludności trudniącej się handlem. W tymże ośrodku emigracyjnym — najlepiej wyrobionym gospodarczo — większość bodaj nielicznych dużych firm importowych polskich powstała w ostatnich kilku (sic!) latach. Firmy z okresu wczesnopowojennego uległy likwidacji. We Francji — drugim po Stanach Zjednoczonych ośrodku emigracyjnym rozporządzającym znaczną siłą nabywczą — niema żadnej dużej emigracyjnej firmy dla importu z Polski. Zdaje się — o ile mogliśmy się zorientować — że podobnie rzeczy się mają w krajach Ameryki Południowej.

Warunkiem podstawowym wejścia na rynek emigracyjny jest (pomijając — stronę handlowo - polityczną i ogólno - ekonomiczną) dopasowanie metod handlu zagranicznego do cech specyficznych emigracyjnego kontrahenta.

Stwierdziliśmy właśnie, że jedną z nich jest niedorozwój emigracyjnego aparatu dla handlu z Polską i „słabość" lokalnej sieci handlowej, niezawsze — jak wynika z oświadczeń emigrantów — dostatecznie popieranej przez współziomków. Wzmożenie obrotów handlowych z macierzą byłoby może punktem wyjścia dla ich rozwoju i dla przezwyciężenia pewnej polskiej „nieruchliwości" gospodarczej. Silna kapitalizacja, jaką wykazuje wychodźctwo, stanowi czynnik sprzyjający: umożliwiałaby ona z czasem zgromadzenie własnych emigracyjnych środków finansowych, koniecznych przy szerokiej rozbudowie kontaktu handlowego kraju i wychodźctwa.

Drugą interesującą nas cechą kontrahenta emigracyjnego jest skład socjalno - gospodarczy ludności polskiej zagranicą. Jest to ludność przeważnie „konsumencka", to znaczy, że utrzymuje się ona przede wszystkim z pracy rąk własnych względnie z niewielkich kapitałów. Te zatem towary polskie, które emigrant może zakupić będą przeznaczone na jego osobisty użytek. Rynek emigracyjny jest par excellence rynkiem zbytu dla towaru gotowego.

Trzecią z cech najbardziej charakterystycznych tego rynku stanowią elementy emocjonalne łączące wychodźctwo z macierzą. Odwoływanie się do nich nie zawsze jednak jest celowe.

Wskazywanie na obowiązek moralny zakupu towarów polskich, kiedy *towarów tych niema na rynku* dostępnym konsumentowi — jest niecelowe, a nawet wręcz szkodliwe. Tenże sam apel staje się niepoważny, gdy kieruje się go do drobnych kupców, którzy nie są w możności zorientować się, jakie towary polskie kalkulują się na rynku zagranicznym, ale przede wszystkim — *nie są w możności ich zakupić* wobec braku wyspecjalizowanego hurtownika lub całkowitej niezależności tegoż od żądań stosunkowo nielicznych i niezorientowanych detalistów emigrantów.

Wreszcie warto zaznaczyć, że apele do patriotyzmu gospodarczego kupca - detalisty, wówczas, gdy posiada on nawet możliwość zaopatrzenia się w towar polski — są o tyle celowe, o ile dany towar kalkuluje się na danym rynku. Jednakże pojęcie kalkulacji kupieckiej towaru ma pewną swoistą cechę na rynku emigracyjnym.

Nawet towar „drogi" może się kalkulować, o ile konsument zechce zapłacić zań nieco więcej; czynnik emocjonalny, który skłoniłby polskiego emigranta do „nadpłaty" za towar polski uznać należy bezwątpienia za dość silny — można go jednak handlowo wyzyskać tylko przez dokładne wyczucie jego treści. Najbardziej charakterystycznie dałoby się treść tę określić w takim skrócie: emigrant kupi obcy towar bardziej mu odpowiadający, niezależnie od źródła zakupu tj. *pomijając ewentualnie polskiego detalistę*, ale gotów jest zapłacić nieco drożej nawet obcemu narodowo kupcowi, aby uzyskać towar polski, z uwagi bądź na przyzwyczajenie i na znajomość ogólną towaru, bądź na powszechną emigrantom chęć posiadania czegoś, co *właśnie „przychodzi"* z kraju macierzystego.

Jakie są wnioski z tej próby (bo zagadnienie przekracza ramy publicystyki) syntetycznego ujęcia cech specyficznych rynku emigracyjnego?

Wydaje się, że w warunkach:

1) gdy brak aparatu handlowego, bądź aparat handlowy nie dysponuje odpowiednimi środkami finansowymi, bądź jest zbyt mało ruchliwy;

2) gdy rynek wchłania towar gotowy i możliwe jest stosunkowo łatwe dostosowanie tego towaru do dobrze znanych przyzwyczajeń, potrzeb i gustów bezpośredniego konsumenta;

3) gdy konsument kupuje chętnie to, co w *sposób widoczny i niewątpliwy* pochodzi z ojczyzny lub mu ją przypomina.

— w takich warunkach sprzedaż dokonywana przez cieszące się zaufaniem domy wysyłkowe mogłaby okazać się najwłaściwszą formą zbytu towaru polskiego wśród wychodźtwa.

Forma ta wynika z istniejących w chwili obecnej warunków, nie zamierzamy jednak nadawać jej znamion wyłączności. Dom wysyłkowy może w zasadzie handlować jedynie pewnymi rodzajami towarów dającymi się sprzedawać „na odległość" zwłaszcza na podstawie nazw, opisów, katalogów, próbek etc. Niemniej jednak skala jego możliwości jest ogromna, zwłaszcza w tych krajach, które jak np. Stany Zjednoczone — opierają się na konsumcji mało zindywidualizowanej (dotyczy to m. in. także produktów spożywczych) i na cenach także sui generis standaryzowanych. Kierunek ten przeniknął już także do Francji. Skala możliwości handlowych domu wysyłkowego może być zresztą znacznie rozszerzona przez nawiązanie kontaktu nietylko z klientem bezpośrednim, ale także z detalistą lokalnym i z agentem podróżującym.

Dom wysyłkowy jako forma przedsiębiorstwa jest na ogół dość dobrze znany emigrantom. Gazety emigracyjne we Francji zawierają wiele ogłoszeń dotyczących wysyłki towarów za pobraniem pocztowym, i to nie tylko wysyłki z terenu Francji, ale także z zagranicy np. z Czechosłowacji (pierze i... instrumenty muzyczne!) Ciekawe są też doświadczenia poczynione przez Bank P. K. O., który otrzymuje wpłaty, uskutecznia wypłaty, wydaje książeczki oszczędnościowe, słowem załatwia w dużej ilości wszystkie t. zw. okienkowe operacje naszej P. K. O. za pośrednictwem poczty francuskiej. Emigranci, którzy prawie zupełnie nie umieją pisać, nie wahają się jednak zwracać się do Banku P. K. O. z własnoręcznymi listami, żądać informacji, rad itp.

Towar pochodzący z zakupu „na odległość" jest najczęściej bardzo drogi, wobec wyjątkowo nieraz niskiej jakości — zjawisko to zresztą zrozumiałe ze względu na brak odpowiedzialności sprzedającego i specyficzne metody „kupieckie" do jakich „zachęca" wysyłka za przedpłatą do nieznającego języka „etranżera". Osobiście zetknęliśmy się z faktem wysyłania gramofonów, z których nie chcieli korzystać nawet nasi robotnicy - emigranci niezawsze przecież wrażliwi na piękno tonu!

A contrario dom wysyłkowy, sprzedający towar w gatunku odpowiadającym cenie i starannie obsługujący swą specyficzną, wychodźczą klientelę, mógłby liczyć na uznanie i powodzenie oparte na zaufaniu tej klienteli do swej działalności handlowej. „Popyt na zaufanie", na ludzi i instytucje, które można obdarzyć zaufaniem, jest niezmiernie charakterystyczny dla środowiska wychodźczego.

Emigrant, który przekona się, że go nie tylko nie oszukano, ale, że mu nawet życzliwie poradzono, wyjaśniono, i, że go należycie zrozumiano, — stanie się, bez przesady, żywą reklamą domu wysyłkowego, reklamą zapewne najskuteczniejszą w ośrodkach emigracyjnych. Dom wysyłkowy miałby zresztą ułatwioną drogę do zdobycia zaufania — występując pod patronatem i kontrolą miejscowych stowarzyszeń polskich, a nawet korzystając z autorytetu moralnego (istotnego w danym wypadku) krajowych instytucji prawa publicznego.

Jako przykład skutecznego i trwałego zjednywania sobie klientów „na odległość" służyć może Bank P. K. O., mimo, że był on poprzedzony szeregiem innych instytucyj „finansowych", które dosłownie żerowały na oszczędności emigrantów. A może te doświadczenia przeszłości stanowią właśnie punkt wyjścia dla powodzenia Banku P. K. O. wśród wychodźctwa?

Jeśli nawet powyższe uwagi znajdują nieco mniejsze zastosowanie do niektórych dawnych i najlepiej wyrobionych ośrodków emigracyjnych w U. S. A., to jednak i tam zaufanie klienta do kupca stanowi wartościowy czynnik trwałego rozwoju przedsiębiorstwa, zwłaszcza zaś przedsiębiorstwa wysyłkowego. Domy wysyłkowe, które tu mamy na myśli (por. niżej) zdobędą sobie zaufanie łatwiej i prędzej, niż przedsiębiorca indywidualny „korzystający" dorywczo, ze sprzedaży „na odległość".

Co do metod działania domów wysyłkowych na emigracji — to obok formy sprzedaży przez pocztę tj. „na odległość" — należałoby jednocześnie wprowadzać inne, a więc sprzedaż przez agentów - wojaże-

rów oraz przez lokalne kupiectwo polskie. Powstanie domu wysyłkowego nie mogłoby stwarzać konkurencji dla detalisty emigracyjnego, natomiast powinno by zachęcać go do obrotów towarem polskim. Dlatego też zadaniem domu wysyłkowego już od chwili powstania byłoby przystąpienie do współpracy z drobnym kupcem polskim, ustalając dla niego odpowiednie rabaty od cen ogólnych. W miarę rozwoju tej współpracy dom wysyłkowy przekształciłby się w hurtownika - importera.

Taka ewolucyjna rola handlowa pokrywałaby się z rolą propagandową na rzecz polskiego towaru. Forma domu wysyłkowego jest pod tym względem szczególnie dogodna: dom wysyłkowy, pod odpowiednią nazwą np. Dom Towaru Polskiego, wysyłałby towar na zamówienia *kierowane do Polski*, lub do siedziby domu na emigracji. Ze względów propagandowych centrala, bądź główna filia domu wysyłkowego bezwzględnie powinnaby znajdować się w Polsce, nie można jednak przesądzać o miejscu (Polska, zagranica) rzeczywistej instalacji biur i składów domu wysyłkowego, gdyż jest to zależne od przepisów prawnych (ogólnych, pocztowych, celnych etc.), oraz od postaci uregulowania stosunków handlowych i rozrachunkowych między określonym krajem a Polską. W każdym razie propaganda domu wysyłkowego pracującego na danym terenie emigracyjnym byłaby dzięki centralizacji stosunkowo najtańsza i najbardziej skuteczna, a ponadto mogłaby znaleźć punkt oparcia i współdziałania także w wychodźczych organizacjach społecznych. Być może, że w niektórych ośrodkach okazałoby się celowe, aby autorytet polskiej kontroli, względnie opieki państwowej lub publicznej (samorządu gospodarczego etc.) został oddany na usługi ekspansji handlowej.

Najbardziej zapewne powołane do podjęcia organizacji domów wysyłkowych dla handlu na rynku emigracyjnym byłyby zainteresowane krajowe przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe, rzemieślnicze i rolnicze lub ich związki, przyczem ewentualny współudział firm emigracyjnych byłby również bardzo pożądany. Ryzyko organizacji domów wysyłkowych byłoby stosunkowo ograniczone, gdy rozbudowa sieci domów obejmujących całą emigrację, względnie odpowiednia rozbudowa jednego domu postępowałaby stopniowo w miarę zdobywania doświadczenia i przyjmowania się tej formy eksportu na rynku wychodźczym.

Tak przedstawia się szkic proponowanej metody „eksportu do swoich" tj. metody penetracji eksportowej na rynek emigracyjny.

Tylko wytrawny handlowiec może wejrzeć w szczegóły funkcjonowania i organizacji domów wysyłkowych. Rola publicysty ogranicza się do sygnalizowania danych podstawowych dla rozwiązania problemu penetracji, i z tego tylko punktu widzenia poruszyliśmy exempli modo niektóre bardziej szczegółowe strony omawianej formy przedsiębiorstw eksportowych. Pragnęlibyśmy podkreślić konieczność dopasowania nawet tych szczegółowych i technicznych niejako stron sprawy do kilku istotnych i ogólnych cech rynku emigracyjnego w jego obecnej postaci. W żadnym ośrodku emigracyjnym nie dostrzegamy elementów sprzecznych z podstawą, na której powinny oprzeć się domy wysyłkowe we wszystkich przejawach swej handlowej aktywności. Tę fundamentalną podstawę doskonale, bo w praktyczno - handlowej postaci, odtwarza zamieszczone przed tegoroczną Wielkanocą w „Dzienniku Polskim" (Detroit U.S.A.) ogłoszenie o treści następującej (1/8 strony; czcionki jednakowego wymiaru):

„Nowość! Nowość! Świąteczne kiełbasy z mięsa sprowadzonego z Polski. Uwaga! Na każdej kiełbasie zrobionej z mięsa z Polski jest przyczepiona kartka jako dowód prawdziwości!"

Eksport do swoich posiada własne oblicze handlowe.

NOTATKI

LITERACKO - ZIEMIAŃSKA EKONOMIA

W ostatnim numerze „Wiadomości Literackich” p. Zawodziński, pisząc zresztą o zupełnie innym temacie, wygłasza kilka twierdzeń, dotyczących obecnej sytuacji gospodarczej Polski, a w szczególności rolnictwa polskiego. Wygłasza je z dużą pewnością, a więc widocznie z pełnym przekonaniem. P. Zawodziński zestawia mianowicie nasz wskaźnik produkcji, utrzymujący się, jego zdaniem, na poziomie 70, ze wskaźnikami innych krajów przekraczającymi setkę, publikuje rewelacyjny szacunek dochodu społecznego rolnictwa, który zdaniem literackiego ekonomisty wynosi 16% poziomu z najlepszego okresu i wreszcie konstatuje, że parcelacja niszczy produkcję rolną.

Pierwszy błąd jest wybaczalny i zrozumiały. Łatwo laikowi nie wiedzieć, że wskaźnik 70 odnosi się do pierwszego kwartału 1936 r., a wskaźnik obecny wynosi 84 (wzrost o 20%!). Myślę, że pominięcie przymiotnika „przemysłowej” jest prostym przeoczeniem, chociaż niewykluczone jest — oczywiście w świetle dalszych błędów, — że autor artykułu mniema, iż istnieje jakiś wskaźnik produkcji ogólnej. Wreszcie zupełnie wybaczalne jest to, że p. Zawodziński nie wie, iż nie można zestawiać w sposób mechaniczny wskaźnika naszego z wskaźnikami innych krajów, opartymi na innej zasadzie obliczeniowej, ani też, że nasz wskaźnik zbudowany w oparciu o liczby przepracowanych robotniko-godzin nie chwyta pełnego wzrostu produkcji, a mianowicie nie uwzględnia tego wzrostu, który odbywa się bez zwiększenia zatrudnienia dzięki procesowi racjonalizacji i zwiększenia wydajności pracy. — To są błędy dopuszczalne dla laika, a co najważniejsze pozbawione charakteru symptomatów jakiejś specyficznej tendencyjności. Gorzej natomiast jest z dalszymi błędami. Ocena dochodu społecznego rolnictwa na 16% poziomu z lat najlepszych jest już nawet dla laika zbyt grubym błędem. Przypuszczam, że p. Zawodziński musiał ocenę tę skądś zapożyczyć. Byłoby bardzo interesujące odkryć owo źródło, zważywszy że w publikacjach jako tako fachowych i poważniejszych nigdy nie szacowano tak nisko dochodu społecznego rolnictwa. Zresztą — i to jest najważniejsze — tego rodzaju szacunek nie godzi się nawet z temi elementarnemi wiadomościami, których wymagać można nawet od laika z chwilą, kiedy ryzykuje wycieczkę w dziedzinę zagadnień gospodarczych. Wskaźnik cen artykułów sprzedawanych przez rolników wyraża się dzisiaj cyfrą blisko 50-iu. Ażeby zatem dochód społeczny rolnictwa mógł wyrazić się wskaźnikiem 16 (przy przyjęciu za podstawę 1928 r. jako roku najlepszego dla rolnictwa w okresie powojennym), to jedno z dwojga: albo produkcja rolna musiałaby być trzykrotnie mniejsza niż w 1928 r. albo zbyt musiałby być 3-krotnie mniejszy, (w zależności od tego, czy wskaźnik miałby dotyczyć tylko dochodu, przechodzącego przez rynek, czy też całkowitego dochodu społecznego rolnictwa).

Jeśli powyższy błąd nie wskazuje jeszcze, czy mamy do czynienia z brakiem orientacji, czy też z tendencyjnością autora wzgl. jego informatorów, o tyle trzeci z kolei błąd sytuację rozjaśnia. — P. Zawodziński w aksjomatycznej formie stwierdza, że parcelacja obniża produkcję rolną. Skąd wywodzi się to twierdzenie — dobrze wiemy. Ten straszak został uruchomiony przed laty przez wiadome siły podczas debat sejmowych nad ustawą o reformie rolnej. Zaktualizowanie sprawy planowej akcji parcelacyjnej doprowadziło w tym roku do zgalwanizowania starego, wyświechtanego frazesu, co się jednak niebardzo udało gdyż nawet najbardziej przysięgli przeciwnicy reformy rolnej zrzadka tylko posługują się tym argumentem. Wśród zawodowców ta broń została zdyskwalifikowana w świetle dociekań źródłowych na tyle, że sfery bezpośrednio zainteresowane w nierobieniu reformy rolnej zwęziły tezę o ujemnym wpływie parcelacji na produkcyjność rolnictwa do zagadnienia zbożowego i niektórych upraw specjalnych, a nawet w tym zakresie coraz rzadziej posługują się tym argumentem, który nigdy nie był pełnowartościowy, a z dnia na dzień, w miarę postępu kultury rolnej wśród drobnej własności, traci ostatecznie na znaczeniu. Jak to się nieraz dzieje z demobilem — oręż zdyskwalifikowany przez zawodowców przekazany został do użytku amatora. P. Zawodzińskiego uzbrojono w Werndla, który oczom laika wydał się znakomitym nowoczesnym karabinem szybkostrzelnym.

Czytelnik może się łatwo zdziwić, czemu za przedmiot krytyki obrałem właśnie artykuł p. Zawodzińskiego, podczas kiedy np. prasa codzienna roi się od grubych błędów cyfrowych, a pewien jej odłam, ten, który jest sympatyczny p. Zawodzińskiemu, np. „Słowo”, systematycznie wypisuje dziwa na tematy gospodarcze z dziedziny rolnictwa. Przyczyny są dwie. Po pierwsze p. Zawodziński w swoim dziale pracy literackiej reprezentuje pozycję o określonym ciężarze gatunkowym. P. Zawodziński nie jest przytem politykiem, związanym zawodowo z określoną grupą interesów materialnych. Z tych względów wypowiedzi jego nawet w sprawach, na których się nie zna, mają większy ciężar gatunkowy niż herezje pierwszego lepszego anonimowca w prasie brukowej. Ponadto wystąpienie p. Zawodzińskiego nie ma oczywiście tego posmaku, jaki mają wystąpienia publicystów jawnie związanych z określonemi grupami politycznemi lub gospodarczemi, publicystów dobierających tylko argumenty dla uzasadnienia z góry przyjętego stanowiska. Są to jednak względy mniejszej wagi, ważniejsze znacznie jest to, że o ukształtowaniu się t. zw. opinii publicznej decyduje bynajmniej nie frontowa, jawna działalność jawnych placówek określonego obozu. Znacznie silniejszy wpływ na opinię ma infiltrowanie pewnych tez pośrednio, przy okazji, ustami ludzi neutralnych w rzeczywistości czy z pozoru. I tu dotykamy naprawdę ważnego problemu. Wielka własność jako kategoria gospodarcza nie reprezentuje większego ciężaru gatunkowego. Ani jej obszar ani poziom gospodarowania tego ciężaru zapewnić jej nie mogą. Natomiast jako kategoria społeczna ma ona niewątpliwie wpływ dużo silniejszy niż się z pozoru sądzi. Inteligencja — dziś miejska — jest w dużej części pochodzenia ziemiańskiego. Prawie każdy mieszczuch-inteligent ma jakiegoś pociota na

wsi, ten pociot jest dla niego wyrocznią w zakresie oceny sytuacji rolnictwa i właściwej polityki rolniczej. Daje to do dyspozycji wielkiej własności potężną sieć nieświadomych, często naiwnych, bardzo często w dobrej wierze działających „placówek agitacyjnych", kolportujących takie nawet poglądy i informacje, których jawni rzecznicy sprawy ziemiańskiej nie odważyliby się swoimi usty głosić.

Artykuł p. Zawodzińskiego, jako dowód rzeczowy, potwierdzający tezę szerokiego zasięgu tendencyjnych inspiracyj w sprawach polityki rolniczej, wybrałem dlatego, że 1) Wiadomości Literackie jako pismo nie mogą być podejrzewane o proziemiańską tendencyjność; 2) Autor artykułu — jeśli wolno mi o tem jako laikowi sądzić — reprezentuje w swoim zawodzie „wysoką klasę"; 3) artykuł, w którym poruszone zostały zagadnienia rolnicze, odznacza się dużą odwagą cywilną i niezależnością sądu, w temacie, gdzie szczególnie trudno o te dwie zalety. (Kwestia żydowska). Dzięki temu zespołowi okoliczności ów dowód rzeczowy jest szczególnie cenny i dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie wykorzystaniu go, chociaż zdaję sobie sprawę, że zagadnienia rolnicze były potraktowane przez p. Zawodzińskiego mimochodem i w tym sensie można byłoby mój wypad polemiczny uznać za nieuzasadniony, czy conajmniej niesprowokowany. Na usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko jedno: przedmiotem obstrzału nie jest właściwie p. Zawodziński, lecz pewne szersze zjawisko, wykryte w pewnej mierze przypadkowo na tle Jego artykułu.

a. n.

400 LAT TEMU

Śledząc bieg aktualnych wypadków dobrze jest od czasu do czasu porównać je z dawno minionymi faktami. Nauka historii, jeśli nie jest tylko zbiorem dat i suchych zdarzeń („działo się to w roku takim a takim..."), daje możność uchwycenia analogii pomiędzy „dawnymi a nowymi laty" i wyciągnięcia wniosków z *ciągłości* historycznej, jaką posiada każdy większy naród europejski. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że istotne pierwiastki, w tradycji zawarte, są niczem innym, jak zasadniczemi cechami danego narodu, które ulegają znacznie mniejszej i powolniejszej ewolucji, niż to się zwykle przypuszcza.

Szczyt powodzenia politycznego Polski przedrozbiorowej przypada z całą pewnością na wiek XVI, epoką Jagiellonów i Stefana Batorego. Już chociażby z tego tytułu warto się przyjrzeć temu okresowi również i od strony — gospodarczej.

Polska XVI stulecia jest jeszcze krajem mieszanym, rolniczo - miejskim (rzemieślniczo - kupieckim), ale raz po raz wstrząsają nią tendencje zmiany tego zdrowego stanu rzeczy. Szlachta polska, mając ułatwione warunki dla gospodarki rolnej (byliśmy wówczas „śpichlerzem Europy", trapionej wojnami religijnemi), poszła po linii najmniejszego oporu i z produkcji rolnej uczyniła alfę i omegę swej mądrości i aktywności gospodarczej. Na miasta z ich handlem i rzemiosłem patrzano pogardliwie i lekceważąco. Nie obchodziło również szlachty morze, „gdy pilnie orze" — jak się wyrażał, bynajmniej tego nie potępiający, poeta.

Rządząca ówczesną Rzplitą klasa szlachecka miała tylko jeden gospodarczy cel przed oczyma: sprzedawać zboże do Gdańska i jak najtaniej nabywać zagraniczne towary przemysłowe. Dysponując znacznymi środkami pieniężnymi (w. XVI otworzył „nożyce cen" na korzyść rolnictwa), szlachta polska stanowiła b. pojemny rynek zbytu. Ale z obawy, ze pośrednicy mogą zmniejszyć zyski, płynące z importu, utrudniała, jak mogła kupcom krajowym zajmowanie się handlem importowym. Nie miała natomiast nic przeciwko temu, by te funkcje spełniali i bogacili się kupcy zagraniczni. Pojęcie bilansu płatniczego i korzyści dla kraju, płynących z zatrzymania zysków, jakie daje handel, było ówczesnym rządom zupełnie obce.

Monopol handlu eksportowego zbożem nie spoczywał jednak w rękach ziemiaństwa. Szlachta wywoziła zboże Wisłą do Gdańska, jedynego odbiorcy, a tem samem i *monopolisty*, który dyktował ceny, a nadomiar złego utrudniał Polsce akcję nad Bałtykiem, bronił się przed dopływem ludności z Polski i bynajmniej nie dbał o dobro polskiego bilansu handlowego i płatniczego. Gdańsk, wyzyskując położenie geograficzne, dbał tylko o swój interes w wymianie z Polską, jako dostawcą zboża, nie troszczył się natomiast o dalsze losy ziemiopłodów, w których dalszym zbycie pośredniczył. Pośrednictwo to było bierne, bo Gdańsk, zadowolony ze swego losu i bogactwa, *wyzbyty szerszych ambicyj*, nie podejmował eksportu pionierskiego, zdobywczego, tylko czekał, aż przybędą doń kupcy holenderscy, którzy ujęli w swe ręce obrót polskim zbożem na rynkach europejskich. W ten sposób szlachta wytrąciła z rąk kupców polskich możność wejścia ich na rynki światowe, a monopol Gdańska dokonał reszty.

Cechą charakterystyczną polskiej gospodarczej myśli i akcji w XVI w. była polityka, jak byśmy dziś powiedzieli, pro-konsumencka (ceny maksymalne). Zarazem była to polityka tak czystej wody liberalna, że mogła by nam jej pozazdrościć Anglia ubiegłego stulecia. Gdy w całej Europie zaczął wówczas powstawać przemysł, oparty na koncentracji kapitału, Rzplita szlachecka, walcząc z miastami, ucinała możliwości akumulacji kapitału, która tylko w handlu czy przemyśle (rzemiośle) rozwijać się może.

Polską myśl gospodarczą XVI w. cechuje ubóstwo i bierność. Gdy na zachodzie rysował się potężny prąd merkantylizmu, w Polsce najwięcej przejmowano się zagadnieniami skarbowymi, t. zn. szlachta walczyła z królem o dochody państwa, a raczej o taki ich podział, aby król nie mógł — z braku środków — prowadzić wojny i gospodarować krajem. I dlatego Mikołaj Rey zażywał miru u szlachty, bo głosił, że Polska powinna się cieszyć, iż nie posiada przemysłu i żyje tylko z rolnictwa, karmiąc zbożem Europę. Wezwanie księdza Grabowskiego, który nawoływał rząd do eksportowania zboża, zakładania rusznikarni, stadnin i t. p., było w tych warunkach głosem wołającego na puszczy.

Historia gospodarcza Polski XVI w. jest czynnikiem, niezbędnym do zrozumienia polskiej myśli i polityki gospodarczej w XX stuleciu.

j. g.

MANOWCE GOSPODAROWANIA

Prasa przyniosła sensacyjną — dla naszych stosunków jakże sensacyjną wiadomość o projektowanej budowie wielkiego garażu samochodowego na miejscu dzisiejszych kas biletowych pociągów podmiejskich Dworca Głównego w Warszawie.

„Garaż - olbrzym", — pisze zachwycony „Goniec Warszawski", który powstanie na terenach, gdzie obecnie znajdują się kasy podmiejskie dworca Głównego, wybudowany ma być na wzór garażów amerykańskich. Będzie on cztero lub sześcio piętrowy. Samochody dostawiałyby się na piętra przy pomocy specjalnych wind. Niezależnie od boksów przewiduje się sale zbiorowe dla samochodów cięższego typu. Nowy garaż samochodowy posiadać będzie jednocześnie nowoczesne warsztaty samochodowe, sklepy z częściami zamiennemi, poczekalnie dla pasażerów, restaurację i t. d.".

I dalej:

„Na parterze, projektowanego garażu samochodowego mieścić się będzie dworzec autobusowy Polskich Kolei Państwowych i autobusów prywatnych, połączony specjalnym tunelem z dworcem kolejowym".

Sprawdzamy uważnie, czy aby numer pisma nie nosi daty 1 kwietnia. Nie, *drugiego* kwietnia 1937 r. Oddychamy: tyle dobrodziejstw ma spaść na zbiedniałego obywatela Rzeczypospolitej!

A teraz pytanie, komu taki garaż - olbrzym jest potrzebny? Podobno motywem ma być zakrycie „pustego miejsca szpecącego stolicę". Sądziliśmy dotąd, że stolica ma za mało „szpecących ją" pustych miejsc, czyli t. zw. placów, zieleńców i t. p., które nieopatrznie i naiwnie chronią i powiększają miasta zachodnie, poświęcając im nadmiar pieczołowitości w błędnym mniemaniu, że jest to niezbędne ze względów komunikacyjnych i hygienicznych. Okazuje się, że zacieśniona do ostatnich granic nasza stolica, obficie „zaopatrzona" w wąskie, jakże wąskie, ulice w swym ruchliwym centrum, „pobłogosławiona" brakiem „luksusowego" świeżego powietrza, nie potrzebuje ani placów, ani odrobiny roślinności. Natomiast — jak wynika z projektów — stolica nasza potrzebuje *centralnego* garażu. Znamy nieźle wielkie miasta europejskie, o olbrzymim ruchu samochodowym, ale jakoś w żadnym nie dostrzegliśmy centralnego garażu z wielu piętrami i z większą jeszcze ilością wind na sposób... amerykański. To, że taki system garażowania (w samym centrum stolicy!) musi być niesłychanie kosztowny — w kraju cierpiącym na brak kapitałów i biedę, w kraju o miniaturowej liczbie samochodów — to już drobiazg.

Wiemy, że najbardziej egzotyczne projekty z dziedziny automobilizmu opancerza się natychmiast mocnym puklerzem, który się nazywa: „względy obrony Kraju". Właśnie w imię zapewnienia warunków bezpieczeństwa taborowi samochodowemu na wypadek wojny pragniemy zwrócić uwagę na drobny szczegółik: jaki skutek wywrze jedna (!) bomba nieprzyjacielska celnie rzucona z powietrza w taki skoncentrowany pomnik absurdu, postawiony w samym pępku kraju — obok dworca centralnego, i naładowany benzyną?

Zanotowany przez nas projekt nie jest tylko pomysłem wyjątkowym, oderwanym. Jest on charakterystycznym przejawem naszej „psychologii gospodarczej", którą wszechwładni pp. technicy nastawiają na system amerykański, a więc zrodzony z niezwykłej obfitości kapitałów, daleko posuniętego zaspokojenia potrzeb przez inwestycje publiczne i bezpieczeństwa od głodu, ognia i wojny... To beztroskie naśladownictwo święci swe tryumfy *wówczas*, gdy Ameryka poddaje swe zasady gospodarowania gruntownej rewizji i *w kraju*, w którym warunki rentowności nakładów pieniężnych są tak zasadniczo odmienne. Inspiratorzy nowej psychologji gospodarczej grają komedię pomyłek, chybioną i co do czasu i, nadewszystko, co do miejsca. Motorem organizacji życia gospodarczego w Polsce musi bowiem być *taniość* wytwarzania przy jaknajdalej posuniętych i jaknajlepiej obmyślanych korzyściach jakie każdy nakład kapitału powinien zapewnić.

zor.

Z POCZUCIEM HUMORU

W jednym z dzienników warszawskich ukazał się artykuł wstępny, poświęcony zatargom socjalnym, jakie wystąpiły w ostatnich dniach w kilku punktach kraju.

Nie o strajki chodzi jednak, lecz o sprawę zgoła inną. Bo jakże wywodzi to pismo — Obóz Zjednoczenia Narodowego głosi hasło o „stole wspólnego porozumienia" pracodawców z pracobiorcami, a tymczasem... Tymczasem prasa stołeczna atakuje przemysłowców, co podrywa autorytet tych ostatnich w oczach ich współpracowników. Robotnicy — skarżą się przemysłowcy — nie dają wiary ich zapewnieniom. Stracili — pod wpływem prasy warszawskiej — zaufanie do swych chlebodawców.

Rozumowanie, które streściliśmy wyżej, nie wydaje się ani słuszne, ani logiczne. Jeżeli przemysł chce naprawdę zasiąść do wspólnego stołu z robotnikami, to jest w tem zarówno mądry gest, jak i zrozumienie jednej z głównych idei Obozu. Dotychczas jednak tej woli i tego zrozumienia brakowało pp. przemysłowcom i dlatego, zapewne, robotnicy nie darzyli przemysłu zbyt wielkim zaufaniem.

Ale to jeszcze nie wszystko. Pp. przemysłowcy twierdzą, że ich idealne, sielankowe jakoby stosunki z robotnikami zepsuła prasa warszawska, zwalczająca podwyżkę cen. Nawiasem mówiąc, akcję walki z nieuzasadnioną zwyżką cen i polityką niektórych karteli prowadzi Rząd Rzeczypospolitej, a prasa mu tylko sekunduje. Mniejsza z tem. Na podkreślenie zasługuje co innego: pp. przemysłowcy w ogóle nie pozwalają na krytykę swej działalności. Kto krytykuje — ten sieje wiatr, a kto wiatr sieje — ten zbiera burzę. Innymi słowy, jeśli się komu nie podoba akcja podbijania cen, powinien siedzieć cicho, bo inaczej dowiedzą się o tem robotnicy i nie zechcą zasiąść do wspólnego stołu, przy którym pp. przemysłowcy czekają na nich oddawna. A niedopuszczenie do takiej konferencji jest zaprzeczeniem idei Obozu Zjednoczenia Narodowego. Więc kto krytykuje postępowanie

przemysłu, zwłaszcza skartelizowanego, ten jest przeciwnikiem Obozu.

Takiemu tokowi rozumowania nie można jednej rzeczy odmówić: nielogiczności. Albo bądźmy bardziej wyrozumiali: poczucia humoru.

br.

EKONOMIA A LITERATURA

Sposób ujmowania zjawisk gospodarczych w literaturze polskiej nie jest bez znaczenia ani wtedy, gdy traktujemy sprawę jako symptom pewnego stanu rzeczy, ani jako czynnik wychowawczy. Wszelka artystyczna wizja rzeczywistości jest wyrazem tego, jak przełamuje się rzeczywistość w psychice zbiorowej, a ponieważ literatura piękna jest czytana przez kręgi o wiele szersze niż dzieła naukowe, czy nawet publicystyka gospodarcza, to wpływ sposobu ujmowania zjawisk gospodarczych przez literaturę piękną jest bardzo szeroki i doniosły. Ponieważ autorzy dzieł literackich nie są ekonomistami, to moglibyśmy powiedzieć, że przełamywanie się zjawisk gospodarczych w ich twórczości jest dobrym wykładnikiem przeciętnej kultury ekonomicznej danego narodu.

Osobiście nie czytam beletrystyki zbyt dużo, bo nie mam na to czasu, ale czytam to co najlepsze, a pozatem czytuje powieści w odcinkach pism codziennych. Otóż gdy czytałem przed paru laty w „Gazecie Polskiej" powieść Malraux p. t. „Dola człowiecza", uderzyła mnie niesłychana jasność, precyzja i głębokie rozumienie przez autora mechanizmu poruszanych przez niego zagadnień gospodarczych. Osobliwie dobry był tam opis krótkiej konferencji finansowej w ministerstwie skarbu. I odrazu nasunęło mi się wówczas porównanie z drukowanymi poprzednio w tejże gazecie powieściami Kadena-Bandrowskiego „Mateusz Bigda" oraz „Czarne skrzydła". Polski autor również porusza tam sprawy gospodarcze, ale traktuje je jak jakieś tajemnicze ciemne siły. Nie w tem rzecz, że ciemne, bo Malraux przedstawia również sprawę bynajmniej nie świetlano, jeśli chodzi o stronę moralną zagadnienia. Chodzi o to, że autor francuski opisuje t. zw. machloję w sposób, z którego widać, że rozumie mechanizm tej machloji tak dobrze, że po prostu sam mógł by, gdyby chciał, podobną operację przeprowadzić. Autor polski czuje jakąś machloję np. w działalności kapitału zagranicznego ale jej techniki i mechanizmu nie zna. Przedstawia więc sprawę w sposób tajemniczy, jak by coś w rodzaju czarnej mszy, wytwarzając odpowiedni nastrój, działa na uczucie, ale nie tłumaczy na czem rzecz polega.

Uświadomiłem sobie wówczas całą różnicę między przeciętnym poziomem francuskiej kultury ekonomicznej a polskiej (uprzejmie proszę właśnie o takie rozumienie tej notatki, nie zaś traktowanie jej jako krytyki twórczości p. Kaden-Bandrowskiego, bo to nie moja dziedzina). Coś nie coś w tej dziedzinie się zmienia, jeśli nie jest czystym przypadkiem to, o czem piszę poniżej. Chodzi mianowicie o to, że gazeta „Goniec Warszawski" drukowała powieść sensacyjną (Zemsta Martineza), w której cała intryga była zadzierzgnięta dookoła wielkich operacyj finansowo-gospodarczych, operacyj przedstawionych w sposób logiczny, prawdopodobny i z dużą znajomością rzeczy. Oczywiście jest to powieść sensacyjna, fantastyczna, akcja jej jest „ulokowana" w nieistniejącym kraju, więc nie należy stawiać tej powieści w jednym rzędzie ze wspomnianemi wyżej. Ale w poszukiwaniu wszelkich przejawów postępu chwytam się i rzeczy drobnych, bo bądź co bądź ma to swe pozytywne znaczenie, że kilka tysięcy czytelników tej gazety nie czyta o sprawach gospodarczych rzeczy zupełnie wypranych z elementu realności, że nie uczy się traktować ich jako wiedzy tajemnej, lecz jako sprawę najzupełniej mieszczącą się w ramach trzeźwego rozsądku pod warunkiem posiadania odpowiednio szerokiej wiedzy. A takie przestawienie psychiki polskiej jest ważne, bo nasze społeczeństwo wciąż goni za wielką tajemnicą i traktuje wiele realnych spraw w sposób mistyczny. Co prawda działa w tym kierunku i prasa sfer gospodarczych, która tłumaczy społeczeństwu, że sprawy gospodarcze są czemś takim, o czem prości ludzie w ogóle nie powinni zabierać głosu a wierzyć na słowo fachowcom.

Fachowcy zaś z pasją uprawiają niezrozumialstwo i niedopowiadania zupełnie tak samo jak literaci. Niedopowiadania są dobrym „chwytem" literackim, gdy chodzi o sprawy dobrze wszystkim znane z własnego doświadczenia jak np. przeżycia erotyczne. Lecz tu właśnie panuje realizm i to drobiazgowy. Wolałbym żeby było odwrotnie.

r. s.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.